



Rozdział XII

Gdy Gula zniknęła razem z Yowamuchim, Gohan pomyślał, że przenieśli się do innego wymiaru. Tymczasem było całkiem odwrotnie.

Magia, której próbowała użyć, by zlokalizować możliwe miejsce przetrzymywania Pan i Videl, była skomplikowaną i dość niepewną sztuką – nie mogła być inna, skoro sprowadzała się do grzebania w umyśle jasnowidza – więc użycie jej w pudełkowym świecie, jak czarownicy potocznie określali pozaprzestrzeń, było kłopotliwe. Dużo łatwiej było wcześniej przygotować odpowiedni portal w drzwiach i uruchomić go, kiedy Gohan będzie wychodził. Obszar w którym się znajdował był bardzo okrojony, ledwie jedno piętro pałacu Guli, a i on wymagał dużego wydatku energii na jego utrzymanie. Dlatego Gula musiała się spieszyć.

Są jednak rzeczy, których przyspieszyć nie sposób.

Nim skończyła, Gohan zdążył przysnąć na jednej z otoman, które umieściła w atrapowym świecie. Zaraz miała czekać go brutalna pobudka. Wiedźma wyszeptała zaklęcie i klasnęła w dłonie. Dodatkowy wymiar skurczył się i zniknął, a śpiący pół-saiyanin zmaterializował się nagle na środku pokoju, z łoskotem uderzył o podłogę.

Od razu też zerwał się na równe nogi.

- Co się stało?! – zawołał zdezorientowany. – Wróciliście!

Wtedy zobaczył Yowamuchiego, spalonego w kącie sali, trzymającego się na głowę. Dorosły mężczyzna kiwał się niczym porzucona sierota.

- Co mu zrobiłaś? – zmartwił się i poczuł ukłucie winy.

- Jest w szoku. Zajmę się nim i niedługo mu przejdzie. – odparła staruszka ze stoickim spokojem, po czym wyciągnęła z rękawa pomiętą mapę i rzuciła ją w stronę Gohana. – To co się przyda.

Już zbierał się do lotu, kiedy wyczuł coś niepokojącego. Wybuch energii daleko na wschód i południe. W pobliżu był też Vegeta i dzieciaki. Coś się tam działo!

Jeszcze raz spojrzął na zwitek papieru w swoim ręku. Musiał dokonać wyboru.

- Naprawdę nie musiałeś zabierać mnie tak daleko. – Bulma nie wydawała się zadowolona z miejsca, w którym wylądował Uub. Zabrał ją daleko od archipelagu, aż na stały ląd, skąd nie miała szans zaobserwować walki. On jednak szóstym zmysłem czuł, co się tam dzieje i każda myśl gnała go mu walce.

Ogromna gął uderzyła w wystrzępiony, skalisty brzeg, niemal zalewając wzniesienie na którym wylądowali. Potem pojawił się wielki wiatr, a tam, gdzie trwała batalia, wielki płomień rozświetlił niebo.

- Muszę tam lecieć! – zdecydował i wzbił się w powietrze.

- Hej! Nie możesz mnie tu zostawić! – protestowała kobieta, ale chłopca już nie było. – Jak zawsze. – naburmuszyła się niczym nastolatka. Na szczęście miała przy sobie telefon i mogła zdalnie wezwać swój statek. Nie będzie musiała siedzieć na tym odludziu.

Martwiło ją tylko to, co się stało z jej mężem. Saiyanie zawsze byli dziwni, mogła nawet zaakceptować ogon (całe szczęście, że dzieci ich nie mają) ale to? Tego było już dla niej zbyt wiele!

- Czasem wolałabym mieć bardziej nudna życie. –mówiła sama do siebie, choć dobrze wiedziała, że drzemie w niej dusza poszukiwacza przygód.

Wyciągnęła telefon jeszcze raz.

- Mama? Dobrze, że cię zastałam! – radośnie wykrzyknęła do słuchawki. – Weź maleńką Bra i wsiądź ja statek. Właśnie wysyłam go pod dom.

Rozłączyła się i złapała głęboki oddech. Zaraz zobaczy swoją maleńką córeczkę, na pewno sporo urosła gdy jej nie było. Przy tym całym zamieszaniu z zapewnianiem bezpieczeństwa dla wszechświata dopiero do niej doszło, jak bardzo za nią tęskni.

Chyba ma już dość przygód.

...przynajmniej na jakiś czas.

Nie było dobrze.

Gdy tylko Vegeta osłabł i skończyła się jego nowa transformacja (Trunks mówiąc szczerze odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że ojciec może wrócić do normalnego wyglądu), Koko i Rero zdobyli miażdżącą przewagę. Książę saian nie nadawał się już do walki – trawił go ogromny głód, który, jak sądził, nie pozwalał mu nawet przemienić się nawet w super-saiyanina.

Trunks i Goten musieli stawić czoła profesjonalnym zabójcom jeden na jednego.

- Hiiia! – krzyknął Trunks, wypuszczając przy tym cienki niczym tafla szkła dysk kienzan.

Zderzył się z lustrzanym ostrzem Koko w pół drogi między pół-saiyaninem a jego przeciwnikiem. Kienzan odbił się rykoszetem w przypadkowym kierunku, a energetyczne ostrze rozpadło na kilka mniejszych, równie niebezpiecznych, nadal zmierzających w stronę Trunksa.

Po drugiej stronie wyspy, powalony na ziemię Goten, taki sam dysk posłał w kierunku swego wroga, wiszącego kilkaset metrów nad nim na tle bezchmurnego nieba. Tamten bez trudu uchylił się przed atakiem i prychnął.

- Cóż za desperacja. – rzucił zjadliwy komentarz, opadając już z wolna ku swej ofierze.

Trunks nie był w lepszej sytuacji. Choć udało mu się uniknąć gradu odłamków, Koko wykorzystał sytuację, by zmniejszyć dystans i uderzył go szybkim i mocnym prostym, dokładnie w vitalny punkt na wątrobie. W ciągu ich krótkiej walki młody spadkobierca Capsule Corp. przyjął już kilkanaście takich ciosów, dokładnie w to jedno miejsce i ból zaczął dawać się już we znaki.

Trunks cudem wyrwał się potrzasku i znów zwiększył dystans. Wystrzelił kolejne dwa kienzan w stronę Koko. Użył już w sumie siedem. Goten postawił na taką samą strategię i ponowił atak.

Na między wymiarowych wędrowcach nie robiło to wrażenia.

Spojrzenia pół-saiyan spotkały się na chwilę.

Ich transformacje nie potrwały już długo – obydwaj byli na granicy wyczerpania. Potrzebowali wspólnego planu.

- Hej, wy... zasmarkañcy!

Dwie kule energii świsnęły w powietrzu.

Rero zdążył odbić tę, która była przeznaczona dla niego. Druga uderzyła Koko w plecy, wybijając go z rytmu, ofiarowała Trunksowi cenne sekundy.

Już wiedział, jaka wykorzystać tę szansę.

- Pan Vegeta! – krzyknął czarnoskóry chłopiec, kiedy dostrzegł nieprzytomnego saianina, leżącego w piasku, zabarwionego na szkarłat od krwi. Pomknął ku niemu, instynktownie chcąc udzielić mu pomocy.

Koko i Rero nie mogli sobie pozwolić na to, by mu przeszkodzić. Ich przeciwnicy byli już tuż przy sobie, wystarczyło, że na sekundę ktoś odwrócił ich uwagę. Zaatakowali jednocześnie, nie pozwalając im się spotkać. Dwie walczące pary krążyły w pobliżu siebie, przy wtórze uderzeń i okrzyków. Rero i Koko posiadali inicjatywę w tej walce, młodzi obrońcy Ziemi, nawet mimo transformacji, które jakoś udało im się utrzymać, dostawali tęgie lanie.

Nie chodziło im jednak o przejęcie inicjatywy w pojedynkach – chcieli znaleźć się w zasięgu swoich rąk. W efekcie chłopcy nie zważając na nic parli mu sobie, zaś wędrowcy nie pozwalali im na to, przy okazji coraz bardziej objając swoich przeciwników. Byli już pewni swojego zwycięstwa.

Nikt nie patrzył na Uuba.

Kiedy murzynek wylądował przy ledwo żywym księciu saian, nie wiedział, co ma zrobić.

Ukląkł przy nim i patrzył na jego opłakany stan, próbując wpaść na jakiś pomysł.

Chłopcze. Odezwał się wewnątrz jego głowy głos, który początkowo zignorował.

Chłopcze, pozwól sobie pomóc. Zawołał go powtórnie.

- Najstarszy? – wyszeptał Uub, zaskoczony, ale i pełen nadziei.

Choć wydawać się mogło, że spędził wraz z sędziwym Nameczaninem tylko kilka chwil gdy ten był u progu śmierci, wytworzyła się między nimi bliska więź, silniejsza niż wieloletnia przyjaźń, niemal niczym więzy krwi. Choć widzieli się tylko raz, to na moment, na parę sekund ledwie, ich dusze były zespolone... jak widać, część Najstarszego nadal trwała we wnętrzu Uuba.

Zrób wszystko tak, jak ci powiem. Tak uratujesz mu życie.

Młody wojownik przytaknął i zabrał się do roboty.

Postępował dokładnie wedle instrukcji wewnętrznego głosu, wręcz wydawało mu się, że to on kieruje jego ki, to on rozkazuje jego rękami. Poświata wokół dłoni rozszerzała się z wolna, w końcu zetknęła się z ciałem Vegety, aż ten wzdrygnął się, niczym podłączony do respiratora. W końcu zielonkawa, subtelna aura rozlała się na całe ciało wycieńczonego saianina i proces uzdrowienia rozpoczął się na dobre. Wymagało to wielkiego skupienia od Uuba, który używał tej umiejętności po raz pierwszy, tak naprawdę nawet jej nie rozumiejąc, na szczęście nikt mu nie przeszkadzał.

Wojownicy z innego świata byli zajęci i zbyt pewno siebie. Nie zwrócili uwagi nawet na jednostka po jednostce wracającą ki Vegety. Głos najstarszego wiedział nawet, jak z pomocą ki odegnąć głód trawiący ciało leczonego –atom po atomie, cząsteczka po cząsteczce, powoływał z niebytu wszystkie niezbędne odżywcze składniki, dokonywał cudownego przemienienia energii w materię. Nie tylko tyle! Tworzył ATP bezpośrednio w mitochondriach saiańskich komórek! Dla tego ciała, przez te parę minut, głos martwego starca za pośrednictwem rąk czarnego dziecka stał się prawdziwym Bogiem stworzenia.

I nikt nic nie zauważył, do czasu...

Ściskając w dłoni zwitek starego papieru z nakreślonymi z grubsza współrzędnymi i szkicem przybliżającym wygląd poszukiwanego miejsca, starając się ignorować zmysły, które alarmowały o przebiegu toczącej się gdzieś na innym kontynencie batalii, spiesząc się, by nieść pomoc (wszystkim), Gohan zmierzał na ratunek swojej rodzinie.

Pan i Videl były dla niego najważniejsze na świecie i choćby cały świat stanął w ogniu, najpierw myślał o nich.

W końcu zauważył pierwszy szczegół z bazgrołów, jakie wykonał zaklęty Yowamuchi – podstarzały profesor, którego wyobraźnia jakimś cudem sprzęgła się z losami Gohana i jego rodziny: dwa ośnieżone szczyty niczym sterczące, pełne mleka kobiece piersi. A sądził, że staruszek z uniwersytetu jest po prostu erotomanem...

Wylądował w miejscu, jakie wskazywała mapa, tuż obok niewielkiego wodospadu, który obmywał (znów szkic okazał się celny) ściany niewielkiej świątyni jakiegoś bliżej nieokreślonego kami.

To było to miejsce.

Już chciał postąpić krok do przodu, kiedy na jego ramieniu wylądował wielki, granatowoczarny kruk.

- Nie od frontu. – wyszeptał całkiem po ludzku. – Od razu się ujawniać, a oni teleportują się do innej kryjówki.

- Kim jesteś? – zapytał naukowiec, ale ptak już odleciał, zanurzył się w gęstwinie lasu.

Gohan zastanawiał się chwilę, co zrobić. W końcu ruszył za ptakiem.

Przedzierał się przez zarośla, nieraz tak gęste, że nieprawdopodobne, że przeleciał tędy tak duży kruk, aż w pewnej chwili pomyślał, że zgubił drogę. Wtedy ptaszysko pokazało się przed nim, usiadło na gałęzi i zatrzepotało skrzydłami.

- Skradać to ty się zbytnio nie umiesz, co? – ciche krakanie układało się w ludzką mowę. – Musisz być cicho, zaraz będziemy na miejscu.

- Kim jesteś? – skorzystał z okazji do pytań. –Czemu mi pomagasz?

- Powiedzmy, że to nasz wspólny interes. – odpowiedział ptak wymijająco. –No, dość gadania. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymali się przy skalnej ścianie, nieco poniżej poziomu, na którym znajdowała się świątynia, przy tak ciasnej szczelinie, że aż nie chciało się wierzyć, że może się tam zmieścić dorosły człowiek.

- Tędy wejdiesz do środka. – poinstruował go kruk. – Pamiętaj, musisz być cicho nim nie zobaczysz swoich bliskich. Potem działaj szybko i zabieraj ich stąd, nim ktokolwiek zdąży zareagować i przenieść się razem z nimi.

- Tędy mam przejść? – Gohan próbował wcisnąć się między skalne ściany, ale z marnym efektem.

- Postaraj się. – rzucił ptak na odchodne. – I pamiętaj, działaj szybko.

Gohan już doskonale wiedział, co robić.

- Co u licha?! – zaklął Rero, kiedy poczuł gwałtowny wzrost ki, która powinna już dogorywać. Dopiero teraz zobaczył, że czarny dzieciak, którego zignorowali, potrafił leczyć i to na najwyższym poziomie tej umiejętności! Dopiero teraz to zauważył! Teraz, kiedy był już praktycznie jak nowo narodzony. Teraz...

...kiedy Vegeta otworzył oczy.

Moment nieuwagi wędrowców wykorzystał duet pół-saiyan. Zdążyli złapać się za ręce i (poof!), między ich przeciwnikami stały nie dwie, a jedna istota.

Po raz pierwszy spróbowali błyskawicznej fuzji w czasie transformacji, na szczęście udało się bez pudła! Od razu przeszli do ataku: mocnym kopnięciem odtrącili Koko, Rero, który pomny tego, co potrafił książę saian, zapatrzył się w stojącego na nogi Vegetę, odrzucili prostym ki-ai.

...i znów się rozdzielili.

Goten wystrzelił w stronę Koko, kolejny raz podejmując z nim nierówną walkę, jakby młodzi obrońcy Ziemi nie posiadali żadnego innego planu działania.

- Nie mam czasu się z tobą bawić! – wrzasnął z irytacją Koko, zamknął na ułamek sekundy oczy i skupił ki w jednej dłoni, tworząc małą świecącą błękitnym blaskiem sferę. Jeśli ten świat, o ile nie cały wszechświat, miał zostać zniszczony, to nie musiał przebiegać w środkach. Kula, którą stworzył, była niewielka, ledwie wielkości knykcia, jednak naładował ją taką ilością energii, że zaczęła przeciwstawiać się ziemskiej grawitacji.

Woda wystąpiła z oceanu i wzbiła się w powietrze, zbierając się chaotycznie w ogromne krople, zdolne zmieścić człowieka w swoim wnętrzu. Wkrótce dołączyły do nich fragmenty gleby i wulkaniczne skały, razem układając się w istną mozaikę chaosu.

Koko zamknął dłoń i zamachnął się. Siła przyciągania pociągnęła Gotena wprost do pięści, a ta wystrzeliła w jego kierunku. Wszystko to stało się tak szybko, że nie zdążył postawić gardy... ani nawet zorientować się w działaniu techniki, którą widział po raz pierwszy w życiu. Uderzenie było tak mocne, że młodemu pół-saiyaninowi aż pociemniało w oczach. W tym samym momencie z nieba zleciał dysk kienzan, o włos mijając twarz Koko, który zdążył zrobić unik. Goten dochodził do siebie, kiedy kolejny nadleciał po paraboli, wypadł zza jego pleców i kolejny raz niemal dobiegł celu. Potem trzeci, tym razem zdążający wprost ku plecom wędrowca. Czwarty i piąty nadleciały jednocześnie, tak samo jak dwa kolejne. Koko udało się uniknąć wszystkich.

Goten już odzyskał rezon, gotował się do dalszej walki, której wedle żadnego prawdopodobieństwa nie mógł wygrać.

- Teraz moja kolej! –gniewnie wykrzyknął Koko i szykował się do drugiego ciosu. Wszystko wokół (kamienie, woda, wyrwane z korzeniami drzewa, nawet cząstki powietrza) podążyło za jego ręką, niczym krew za uderzeniem ogromnego serca.

Wtedy przyleciało kolejne siedem, których Koko już się nie spodziewał.

Jednego zdołał uniknąć, dwa odbił naprędce wystrzelonymi pociskami ki z wolnej dłoni. Trzy, zdradziecko skryte za skałami, które przyciągnęła tu jego własna technika, dosięgły jego ciała. Czwarty – ostatni – dzięki zwykłemu zrządzeniu losu, uderzył w dłoń która ścisnęła grawitacyjną sferę. Wypuszczona kula implodowała z głuchym młotniącym, wciągając przy tym dłoń Koko za sobą.

Zaskoczony i przestraszony, spojrzał w kierunku swojego kompana, który już mierzył się z małpoludem i super-saiyaninem. Wrócił do własnych spraw, gdy czarna pięść zdzieliła go w twarz. To murzyński dzieciak włączył się do walki.

Już myślał, że tunelu nie będzie końca, albo, co gorsza, że został perfidnie oszukany, wywieziony w pole i wyjdzie po drugiej stronie góry, kiedy usłyszał cichy, zdławiony przez cienką warstwę skalnej ściany, znajomy głos.

- Nie, nie chcę groszku, mamó! – wołała Pan, jednak tak jakby sennie, rozciągając głoski i gubiąc intonacje słów. Kolejne zdania, coraz cieńsze, przeszły w końcu do szeptu i Gohan nie słyszał nic, wiedział jednak, że jest na dobrej drodze.

Jego na dwyras czułe zmysły niosły też ze sobą dobrą wiadomość z pola walki –jego przyjaciele radzili sobie lepiej, najgorsze chyba było za nimi. Teraz... zrobił kolejny krok do przodu i jakby opadła na niego ciemna kotara. Nie wyczuwał już nikogo na zewnątrz. Mi czuł też ki osób wewnątrz góry i dopiero uzmysłowił sobie, że tak było już od początku. Zupełnie jakby ki była w jakiś sposób maskowana...

Na szczęście miał jeszcze zwyczajne zmysły, a te mówiły mu, że jest coraz bliżej wyjścia. W końcu, po kilku momentach, gdy już sądził, że wciśnięcie się w tak wąski otwór będzie zupełnie niemożliwe, dotarł najpierw do rozszerzenia, a później do końca tunelu. Usytuowany dość wysoko względem istot rozlokowanych we wnętrzu jaskini (czy może lepiej powiedzieć:

podziemnej komnaty), posiadał doskonały punkt widokowy, samemu pozostając niezauważonym.

W środku były Videl i Pan.

Leżeli razem na wielkim łożu w rogu sali, niedaleko nich w kominku płonął ogień, co było absurdalne, bo wcześniej, w trakcie lotu, Gohan nie dostrzegł żadnego dymu. Dopiero po chwili dostrzegł dziwne kształty i obrazy, w które układały się płomienne języki i zrozumiał, że to jakiś rodzaj magii.

Poza nimi, w różnej odległości, krzątało się siedem istot. Tak, istot, ponieważ tylko trójka z nich miała kształt typowo ludzki, jeden wyglądał jak hybryda człowieka i nosorożca, a pozostali przypominali raczej zwierzęta niż ludzi, choć nosili ubrania.

- Czy nasi ludzie ustalili, gdzie przebywa Gohan? – odezwał się jeden z człekokształtnych.
- Trafiliśmy na jego ślad w Satan City, jednak porusza się zbyt szybko, żeby ktoś mógł go...
- A ki? Nikt go nie wyczuł?
- Doskonale się maskuje.

Pół-saiyanin uśmiechnął się w duchu. Dzięki treningowi i Popo ukrywał swoją ki odruchowo. Co prawda nie zniknęła zupełnie, jednak by ktoś mógł go znaleźć, musiał dobrze wiedzieć, gdzie szukać.

- Wiadomo, czy Gula miała z tym coś wspólnego?

Nosorożec - jak Gohan zdążył się zorientować, będący jednym z podwładnych starca, który zadawał pytania –już miał odpowiedzieć, przy okazji zaspokajając ciekawość skrytego na skalnej półce naukowca, jednak w tym momencie na przeciwległej stronie ściany pojawiła się dziura i wleciał przez nią ogromny, granatowoczerwony kruk.

Gohan to rozpoznał i uznał, że nadszedł czas działać.

Kruk radził mu, by działać szybko i bezszelestnie, nim ktokolwiek zauważy, i uciec wraz ze swoimi dziewczynami – i Gohan miał zamiar działać szybko... tylko, że zapamiętać mieli to raz na zawsze.

Na tym, lub tamtym świecie.

- Panie Karin! Panie Karin! – czarny kot, który wyskoczył nie wiadomo skąd i przestraszył Yajirobe, odezwał się ludzkim głosem. – Panie Karin!

- Słucham, kocie. – odezwał się mędrzec (również będący kotem) z wyższością. –Z czym do mnie przyszedłeś?

- Nie czuję Pan tego? Przecież bariera została złamana... Przysłało mnie Towarzystwo, ponieważ wojownik o imieniu Gohan... –Karin, którego uwagę do tej pory zaprzętała batalia w innym miejscu świata, w mig pojął o co chodzi.

- Yajirobe! Czas ruszać!

Koko i Rero przypadli do siebie, wyrwawszy się na chwilę z wielu walki. Co i rusz zmieniali się przeciwnikami, tamci też atakowali w różnych kombinacjach, jakby czytali sobie w myślach.

Ich zgranie i doświadczenie w walce imponowało wędrowcom, którzy przecież byli zaprawieni w bojach w setkach światów.

Sami też potrafili nie gorzej wspólnie improwizować, do tego znali już możliwości i mocne karty wszystkich graczy (już nie dadzą się zaskoczyć Vegecie, ani fuzje nie zrobią na nich wrażenia) więc trwał wyczerpujący pat.

Parę gestów wystarczyło, by skroili w swoich głowach jakiś plan działania na przyszłe kilka ruchów. Mimo, że było mniej liczni i raczej nie zanosilo się, by łatwo pokonali ziemskich wojowników, czuli, że mają kontrolę i nic nie może ich zaskoczyć.

Zamiast się rozdzielić, zaatakowali razem, wybrawszy zgodnie na cel najsłabsze ich zdaniem ogniwo – młodego Uuba. Tym razem to Rero użył dziwnej grawitacyjnej techniki, jednak zamiast zatrzymać ją w ręku, wypuścił kulę z rąk, a ta powędrowała wysoko, zataczając okrąg.

W jednej chwili dla wszystkich i wszystkiego w promieniu kilkuset metrów góra stała się dołem. W lawinie kamieni i strumieniach wody, które przemieszczały się ku nowemu „dołowi”, dezorientowani wojownicy z drużyny Z stali się na jakiś czas niemal bezbronni. Oszołomieni, gdy błędnie w jednej chwili przelał się zmieniając ich wyczucie kierunku, nie mogli nic poradzić przeciwko dwóm zabójcą, z gracją i wprawą, jakby nagła zmiana nie robiła na nich wrażenia, atakującym czarnoskórego wojownika.

Rero mocnym kopnięciem prosto w podbródek złamał obronę Uuba, Koko wykonał kilka szybkich uderzeń w newralgiczne punkty przeciwnika, nie szczędząc przy tym okaleczonej dłoni, po czym obydwaj wypchnęli go poza sferę sztucznej grawitacji.

Gdy Uub przechodził przez granicę oddziaływania grawitacyjnej techniki poczuł jak jego ciało jest wprost rozrywane, przez dwie przeciwstawne siły... aż stracił przytomność i zakończył swój lot topiąc się w toni oceanu.

Zostało dwóch na trzech.

Przez cały ten czas, kiedy Gohan trenował u Popo, z całą pewnością nauczył się jednego: skupienie i metodyczne działanie daje lepsze efekty niż gniewna furia. Miało to swoje odbicie w sposobie, jaki wykorzystywał by uwolnić swoją moc – wypełnienie rytuału Kaiošina, zapamiętanie tego uczucia będącego niczym mantra dla umysłu było zupełnie czym innym, niż wściekłość transformacji w super-saiyanina.

Tym razem jednak nie myślał o tym, by poskromić swoją moc – miał sekundy, by zacząć działać i chciał, by to dobrze zapamiętano. Dlatego uwolnił złotowłosą bestię.

Wyładowania elektryczne, strzelające między cząsteczkami powietrza naładowanymi jego aurą dopełniały obrazu grozy, który na chwilę przed utratą przytomności lub śmiercią widziały jego ofiary.

Transformował się szybko. Działał jeszcze szybciej.

Pierwsza ofiara nawet nie zdążyła to zauważyć. Chwycił człowieka-nosorożca za róg i pociągnął tak mocno, że ten wystrzelił z jaskini, robiąc przy tym dziurę w suficie. Róg za to

został w dłoni Gohana, który rozłupał nim czaszkę pierwszego, przypominającego psa zwierza, który właśnie obejrzał się w kierunku hałasu. W jego oczach nie było paniki, nie zdążył uzmysłowić sobie, co się dzieje.

Gohan, niczym wcielenie śmierci, od razu skoczył ku dwóm pozostałym bestiom, wyglądającym raczej jak gady. Jednym uderzeniem powalił obydwie, sparaliżowane ze strachu, gdy spostrzegły, co się dzieje.

Jeden z ludzi zdążył wyciągnąć dłoń we jego kierunku, już rozkładał palce. Pół-saiyanin wystrzelił szybko mi niemu kulę ki, która rozerwała rękę mężczyzny na strzępy, przy tym ciskając nim mocno i skalna ścianę.

Kolejny chciał uciekać. Jego Gohan zdjął z miejsca, promieniem z czubka jednego palca, przecinając mu kręgosłup w odcinku szyjnym.

Został tylko starzec. Nie uciekał, ani nie próbował walczyć – usiłował za to dobiec do żony i córki szalejącego Gohana. Biegł ile sił, jednak dla potomka saiyan poruszał się niczym mucha w smole. Gohan w jednej chwili znalazł się tuż przed nim, i dzielił go bokiem otwartej dłoni dłoni kark. Ten stracił przytomność i osunął się na ziemię.

Minęło jedno uderzenie serca.

Gdy Uub wpadł w odmęty oceanu, układ sił w walce uległ znacznym zmianom. Vegeta za wszelką cenę chciał wykończyć przeciwnika jak najszybciej, ponieważ, choć został uleczony, czas transformacji był ograniczony i jazd sekunda przybliżała jego porażkę. Już nie wykorzystywał wielkich, małych skoków, a korzystał z lewitacji – przeciwnicy to na nim wymogli. Nadal mógł ich zaskoczyć swoimi nieobliczalnymi atakami, lub pokonać któregoś z nich gdy za jakiegoś powodu rozproszy swoją uwagę, tym razem jednak obydwaj byli niewiarygodnie skupieni. Jakby niczym ustalili sobie za strategię grać na wyczerpanie... a w takiej walce książę saiyan był skazany na klęskę.

Trunks i Goten, coraz bardziej zmęczeni, byli w stanie prowadzić walkę tylko w duecie i to z coraz mniejszą efektywnością. Natychmiastowe fuzje, gdy się ich nadużywa, okazały się niebezpiecznie wyczerpujące – nie dla ciał, ale dla umysłów. Za którymś razem w końcu się pomyła... Czas grał także na ich niekorzyść. Do tego po Koko i Rero trudno było poznać, czy wyczerpanie daje się im we znaki.

Musieli coś zrobić i to szybko, inaczej walka nie potoczy się dobrze..

- Teraz! – krzyknął Goten, kiedy udało mu się zwiększyć dystans między nim, a Koko. Trunks w jednej chwili spadł na ziemię, po czym dzięki ki ai wyrzucił w niebo ogromną ilość piasku. Goten natychmiast poleciał w stronę swojego przyjaciela, ten z kolei, pod osłoną piaszczystego pyłu, też ruszył mi niemu. Obydwaj przyjmowali w locie dziwne pozy, niczym z tańca, a kiedy w końcu się zetknęli, błysk i siła fuzji odrzuciła cały pył flaki od nich. Fala uderzeniowa wstrząsnęła ziemią i powędrowała powierzchnią oceanu ku miastom wybrzeży, które ten dzień zapamiętają jako czas ciągłych katastrof.

Tam, gdzie przed chwilą był Trunks i Goten, stał jeden wojownik, Gotenks. Wyglądał jednak inaczej, niż do tej pory. W jego aurze łatwo dostrzegania były błyskawice. Brwi gdzieś zniknęły, za to przybrał na masie mięśniowej i zyskał więcej złotych, nastroszonych włosów.

- Jeszcze jedna transformacja?! – wrzasnął wściekły Koko, gdy dostrzegł jego przeciwnika i odczuł jak wiele energii wylewa się z jego zmienionego ciała, jakim ta forma jest marnotrawstwem. – Co to, kurwa, za przeklęty świat?! – krzyknął jeszcze raz, po czym napiął mięśnie, skrzyżował ręce na klatce piersiowej i z głośnym „Ha!” rozłożył je gwałtownie na boki. Z jego dłoni wystawały lustrzane ostrza, jednak nie takie, jak wcześniej. Te przypominały raczej złożone z wielu trójkątów kanciaste stożki, niczym prymitywne lance. Sięgały mu niemal do łokci. Do tego, podobnie jak w przypadku transformacji Gotenksa, one także były otoczone elektrycznymi wyładowaniami.

Obydwaj wojownicy ruszyli ku sobie.

Vegeta tymczasem zaciekle atakował Rero. Przy jednej z dziesiątek szalonych kombinacji udało się mu zaskoczyć przeciwnika i ściągnąć go ku ziemi, gdzie Vegeta, prowadzony pradawnym instynktem, czuł się lepiej niż w powietrznych starciach kosmicznych wojowników. Tu udawało się mu przejąć inicjatywę.

Po nieprawdopodobnie długiej serii kopnięć, które – wszystkie bez wyjątku – Rero przyjął na gardę – skoczył nad jego ramieniem... by w ostatniej chwili wykorzystać to, co było jego atutem. Wędrowcy świetne walczyli, bez wątplenia przyzwyczajeni byli do starć z humanoidalnymi rasami – ale nie każda z nich posiada ogon. Gdy tylko Vegeta przeskoczył nad swoim przeciwnikiem, wystrzelił dotychczas obowiązany wokół talii ogon i ścisnął Rero za gardło. Ucisk odciął mu dopływ powietrza i zabójca powoli zaczął się dusić.

Książę saian (czy raczej lepiej powiedzieć: małpi król) i zaczął okładać swojego przeciwnika niczym rozjuszony goryl.

Gotenks już startł się z Koko. Każde uderzenie super-saiyanina trzeciego stopnia było tak potężne, że aż słychać było dźwięk grzmotu a przez powietrze przechodziła fala niczym przez tafle wody. Koko jednak bronił się bez pudła. Nowa wersja jego techniki okazała się nie jedynie bronią do ataku, ale doskonałą tarczą.

- Ka-Boom! – nadał się Gotenks i wypuścił tuzin przypominających go duszków, które popędziły w stronę celu.

- Co za bezużyteczna technika. – westchnął Koko i pociągnął ostrzem o ostrze, powodując nowe feerie wyładowań, gotowy do walki.

Wtem duchy zmieniły swoją postać. Nagle wyrosły im nogi i nabrały barw, stając się miniaturowymi swego twórcy, gotowymi do walki ze swoim celem. Koko usiłował je trafić, jednak nie było to tak proste jak mogłoby się wydawać. Karzełki były bardzo zwinne i próbowały przedrzeć się z każdej strony niczym namolne psy, wciskające się na siłę w ramiona pana. Tylko, że one przy tym próbowały uderzeń, może nie mocnych i groźnych dla Koko, ale irytujących i wybijających go z rytmu, a przecież musiał uważać jeszcze na prawdziwego Gotenksa...

Rero udało się dojść do siebie. Znalazł w końcu sposób, by pozbyć się natręta ze swoich barków (i coraz bardziej obolałej czaszki). Skupił energię tuż-tuż pod skórą, na całej jej powierzchni. Bardzo dużo energii, całe mnóstwo ki. I w jednej chwili uwolnił ją, jak najwykleszczone ki-ai. Tylko, że wykonane całym ciałem. Vegeta zachwiał się i rozluźnił lekko uścisk.

To wystarczyło.

Tymczasem...

Okazało się, że górskie świątynia nie była opustoszała. Prócz siedmiu strażników, którzy sprawowali pieczę nad śpiącymi Pan i Videl, pełno było tam rozmaitych strażników i wojowników, którzy usiłowali pokonać Gohana. Jakiś czarownik musiał nawet otworzyć portal do piekielnego wymiaru, ponieważ atakowały go najprawdziwsze demony.

Większość super-saiyanin tylko pozbawił przytomności, niektórzy jednak nie wytrzymała siły jego ciosów i przyszło się i rozstać z życiem.

Gdy Gohan siał postrach wewnątrz jaskini, każdy centymetr zaścielając ciałami przeciwników przy dźwięku nikłych pochrapywań śpiących żony i córki, z piekielnego wymiaru nim zamknęły się wrota, wydostało się coś jeszcze. Coś, czego nawet najwprawniejszym magom nie udało się kontrolować... Stwór przycisnął się przy skalnej półce, przedzierając między hordami piekielnych kmiotków, snuł wielkie plany.

Pozbędzie się przyczyny całego tutejszego zamieszania, zbierze pod swoją ręką pozostałych przy życiu uciekinierów i rozpocznie podbój tego świata (nieważne gdzie teraz właściwie jest) a potem następnego i następnego... aż odbuduje swoje imperium. Planety, szczególnie zasobne w surowce, niecodzienne gatunki zwierząt, smakołyki, niewolników czy seksualne maskotki to świetny towar na sprzedaż!

Potwór już zacierał ręce i zanosił się obłąkańczym śmiechem. Ten cały pobyt w piekle wyszedł mu na dobre, miał okazję nawet nieco potrenować – choć uchodził za tyrana i jedna z najpotężniejszych istot swoich czasów, zawsze był raczej handlowcem i leniem, wolał opływać w luksusy niż zlewać się potem... ale teraz czuł się o wiele potężniejszy, niż w chwili śmierci! W końcu, wspiąwszy się na stos pokonanych demonów, zobaczył go. Złotowłosego wojownika o błękitnych oczach ziejących zimną rządzą mordy. Zmroziło go, kiedy zobaczył jego twarz. Z pamięci od razu wypłynęło wspomnienie dawnego spotkania, kiedy kolejny super-saiyanin, którego spotkał, był ledwie upierdliwym szczeniakiem.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, ten też do rozpoznał.

Frieza był o wiele potężniejszy, niż niegdyś. Pobyt w walka w zaświatach, w najgłębszych czeluściach piekieł, zahartowały go. Dlatego uciekał o wiele szybciej, niż mógł kiedykolwiek.

Kiedy Gohan zobaczył obraz z przeszłości, zareagował instynktownie. Galaktyczny tyran był ucieleśnieniem wszystkiego, czego on nienawidził. Nie zdążył zastanowić się, czy

przypadkiem siła, której użyje, będzie zbyt wielka – w tej chwili był małym chłopcem na Namek, który walczy z mordercą jego przyjaciół. Wyciągnął dłoń i wystrzelił.

Fala ki załała wszystko, ciała pokonanych, ujście groty, uciekającego Frieze. Całość rzeczywistości po tej stronie wyciągniętej dłoni Gohana stała się jedną wielką białą palmą. ...a potem światło zgasło, jaskinia zatrzęsła się, kilka głazów oderwało się od stropu. Jeden spadał wprost w kierunku śpiącej Videl.

Wtem pojawił się Yairobe, w dwóch skokach porwał śpiące dziewczyny, które już wyglądały jakby miały się wzbudzać, i przetransportował na zewnątrz, na granicę kwatery, który powstał w ścianie góry po wściekłym ataku super-saiyanina.

Obok Yairobe, wspiąwszy się na powstałą skarpe, stanął Karin.

Gohan, widząc, do czego doprowadził jego gniew, zdążył się już uspokoić. Nie zostało zresztą wielu z tych, z którymi mógł walczyć. Niedaleko leżał pozbawiony przytomności i obezwładniony starzec, którego miał za zakładnika.

Na szczycie laski Karina wylądował dobrze znany wielki kruk.

- Już wszystko dobrze? – zapytał ostrożnie kot.

Gohan zetknął w stronę swoich dziewczyn, już stojących na nogi, i kiwnął głową.

- W takim razie winien ci jestem sporo wyjaśnień. – kontynuował Karin. – Oraz przeprosiny.

Z panicznego odrętwienia wyrwał go zapach ciepłego kakao. To był jego ulubiony napój, przywodził na myśl chwilę słodkiego, spędzonego na wsi dzieciństwa. Ten zapach najbardziej kojarzył mu się z babcią... już doganiałw latach ją z tamtego czasu.

- Masz, napij się chłopcze, już po wszystkim. –wiedźma wręczyła mu kubek słodkiego mlecznego napoju.

Spojrzał na nią wstawszyz kolan, już bardziej opanowany i nie ma skraju załamania nerwowego. Przyjął kubek tylko trochę drżącą ręką i upił łyk. Ciepła błogość rozlała się w jego trzewiach i już był niemal spokojny.

- To jakaś... magia? – zapytał, jakby z trudem wypowiadając to słowo.

- Nie – odparła Baba Gula – to po prostu kakao.

Potem poszedł za nią do innego pokoju, gdzie mogli usiąść wygodnie. Uświadomił sobie, że układ okien zupełnie nie pasuje żadnego fragmentu budynku, który widział będąc na zewnątrz, ale nie przejmował się już takimi detalami. Już zdążył się oswoić z faktem, że rzeczywistość nie jest ani racjonalna, ani logiczną, ani stała.

- Czemu to wszystko mnie spotkało? – zapytał w końcu.

- To było trochę zarządzenie losu. – zaczęła monolog wiedźma. – To, że trafiłeś na Gohana akurat w takim momencie, że wybrałeś się na turniej, że w jakiś sposób związałeś swoje myśli z przyszłością... trochę sam się w to wkopałeś, bo w końcu kiedy jasnowidz uczelni się jednej osoby czy tematu, to nie ma innej rady. Wspecjalizowałeś się.

- Jasnowidz? Czemu w ogóle miałbym umieć coś takiego?

- Znałam twoją babkę, Zule. – wyznała czarownica. – Ona była jasnowidzka i to jedna z najlepszych jakie spotkałam. To pewnie po niej odziedziczyłeś ten talent.
- Moja babcia była czarownica? – zachłysnął się napojem i musiał chwilę odkaslnąć. – Jak to? Nigdy nie widziałem, żeby...
- Twoja mama nie miała talentu. – w głosie Guli zaczęły pobrzmiwać coraz smutniejsze tony. – Potem pojawił się twój ojciec i zabrał ją z wioski do miasta... Musieliśmy trochę pobierać im w pamięci, kiedy okazało się, że to naukowiec. Tak samo tobie... od dziecka ktoś szperał w twojej głowie... przepraszam, nie ja to wymyśliłam.
- Musieliście? Wy? Czyli kto?!

Usiedli wspólnie przy wyczarowanym na skraju dżungli stoliku, na wysmarowanych krzesłach. Wystarczyło, że kruk zakrakał, a rzeczy pojawiały się. Obrus, szklanki, dzbanek z lemoniadą.

- Usiądźmy. Proszę, częstujcie się. – zaproponował kurtuazyjnie Karin.
- Mów szybko wszystko, co wiesz. I tak straciłem zbyt wiele czasu, muszę pomóc...
- To co ci powiem, to największa tajemnica tego świata. – odpowiedział kot wyjątkowo poważnie jak na siebie. – Usiądź, proszę.

Gohan usłuchał w końcu. Obok niego zasiadła Videl, razem z Pan na kolanach – obydwie, choć wybudzone, nadal były ledwie przytomne po zbyt długim śnie.

Początek historii pół-saiyanin już znał. Przed wiekami ludzkość korzystała z potężnych magicznych sił i posługiwała się ki, prowadząc wojnę, w której żadne okrucieństwo nie było zbyt wielkie, by się do niego nie posunąć. Tyle wiedział już sam. A co było dalej...

- Choć wszystkie państwa i ich władców można podzielić na dwa obozy, każdy z nich knuł, jak przejąć władzę dla siebie, jak wyróżnić się na tle przeciwników. – opowiadał Karin, nakazawszy uprzednio Yairobezać uszy. – Manipulacja energią, czy to zwać ją magią, która była domeną naukowców, czy to ki, wykorzystywana przez wojowników, powoli niszczyła ten świat. Co i rusz powstawały nowe rasy, stwory które nawet ciężko nazwać, wskrzeszano pradawne wymarłe gatunki, wielkie jaszczury które nie powinny już wracać do życia... Cała planeta mogła ulec zniszczeniu.

- To okropne... – Videl już była w pełni przytomna i również wsłuchiwała się w tę historię. – Bogowie nie reagowali?

- Ludzie... Czy raczej: Ziemianie sami ściągnęli na siebie ten los... – westchnął kot. – I sami musieli go rozwiązać. W końcu, po wszystkich stronach konfliktu, wśród naukowców-magów i wojowników było coraz więcej takich, którzy widzieli, że tej wojny nie da się wygrać. Trzeba było zmienić cały świat, żeby go ocalić. Nawiazali ze sobą kontakt, doradcy zdradzający swoich królów i dowódcy oszukujący własnych generałów...

Karin, gdy opowiadał, zmienił się nie do poznania. Gdzieś zniknęła jego kocią naturą i małowówność. Snuł teraz historię, taką, którą zawsze chciał komuś przekazać.

- Znacie legendę o pierwszej smoczec kuli, którą potem Wszechmogący rozdzielił na siedem? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. – To bajka... ale ma w sobie ziarno prawdy. Tajne

stowarzyszenie, które powstało, by zakończyć wojnę i na nowo poukładać świat, szukało sposobu, by to uczynić... ale nie byli zgodni, jak to zrobić, zawsze stanowili luźną i skłóconą grupę. Jedni namawiali do sojuszy, by stworzyć jeden światowy rząd. Inni chcieli kontrolować wszystkich, którzy mają talent w posługiwaniu się ki... Część z nich wpadła na pomysł, by wykorzystać energię wszechświata do stworzenia przedmiotu, który pozwoli spełnić każde życzenie... nie wiadomo, co dokładnie się wtedy stało, bo wszyscy z nich zginęli. Podobno zbudowali kulę, która mogła dać komuś boską siłę.

- I co dalej? Co dalej? – teraz i Pan się ożywiła. Zawsze lubiła fantastyczne historie, opowieści i przygodach i bohaterskich czynach.

- Chyba postanowili jej użyć, bo doszło do katastrofy. Jedni opisują to jako wielki wybuch, inni zarazę, inni twierdzą, że świat zmienił kształt, w miejscu gór pojawiały się rzeki, w miejscu kontynentów, morza... w jednej chwili wszystko, co stworzyła ludzkość obróciło się w niwecz. Niemal wszyscy zginęli. Nawet zwierząt pozostało niewiele... Wtedy Ziemia zwróciła na siebie uwagę bogów.

Tu Karin przerwał i spojrzał w niebo, na zachód, w kierunku swojej wieży.

- Kaioshinowie uznali, że Ziemi należy się specjalny nadzór. Wtedy pojawił się pierwszy Wszechmogący...

- Dzięki za wykład historii, ale co to ma wspólnego ze mną i moją rodziną? –niecierpliwił się Gohan, gdy w każdej sekundzie zmysły wzywały go do walki by wspomóc swoich przyjaciół. Musiał panować nad Bastia, która zbudziła się w jego wnętrzu i nie chciała zasnąć. Siła, którą szanował nawet Vegeta, która, wydawało się Gohanowi, że odeszła na zawsze, pulsowała w jego żyłach, starając się wyrwać na wolność... Niecierpliwił się.

Karin chyba to zauważył, ponieważ zastrzygł nerwowo węsami i przeszedł do rzeczy.

- Masz! – Gotenks, wykorzystując w pełni kamuflaż swojej techniki, z całej mocy uderzył Koko prosto w podbródek. Nowatorskie użycie duszków kamikaze dało mu szansę na wymierzenie czystego ciosu. Poświęcił wszystkie z nich, ale udało się.

Zadał jeden cios, Koko na kilka sekund odstąpił się zupełnie. Gotenks nie mógł przepuścić takiej okazji. Uderzył jeszcze raz, jeszcze, potem znów. Grad ciosów spadał na tułów przeciwnika, pozbawiając go tchu i nie dając szansy na ochłonicie i wyprowadzenie kontry. Wtedy coś uderzyło Gotenksa w ramię, przerywając jego serię ataków. To Rero wyrwał się z uścisku Vegety i posłał w jego stronę szybką kulę energii. Spojrzał w jego kierunku, poirytowany... wtedy stożkowata lustrzana lanca wbiła się w brzuch fuzyjnego wojownika, przechodząc na wylot.

- Zagapiłeś się! – zaśmiał się Koko krwawiącymi ustami i już szykował do kolejnego ciosu, kiedy fuzja rozpadła się i dwa jego cele, które przed chwilą były jednym, wyrzuciło poza zasięg jego ataków.

Goten i Trunks uszko z życiem, ale nie było z nimi dobrze. Choć jakimś cudem rana ze wspólnego ciała nie przeniosła się na nich po rozdzieleniu, wraz z fuzją skończyła się

transformacja i byli teraz zwykłymi, zmęczonym walką saiyanami.

Vegeta dopadł już do Rero, jednak tym razem ten nie dał się złapać – dobrze już wiedział, jak bardzo trzeba uważać w walce z nieobliczalnym małpoludem. Nie atakował. Unikał ataków i odpierał ciosy, niekiedy markując jakąś kontrę, która nie miała na celu nic innego, niż przedłużyć tę walkę. Szacował w myślach czas i już przemiana Vegety trwała dłużej, niż ostatnim razem... a to oznaczało (na to stawiał) że niedługo minie. Zastanawiał się tylko, czemu Popo nie interweniuje – czyżby przestraszył się wizji spotkania z Wielkim Dono? Cokolwiek nim kierowało, było to z korzyścią dla Rero.

Koko już sobie doskonale poradził.

Wygrywali tę walkę. To była jedynie kwestią czasu.

Jeśli Koko szybko wykończy szczeniaki, nawet nie będzie musiał czekać, aż minie transformacja tego aroganckiego błazna – razem go zapieczętują. Kolejne trofeum do kolekcji! Rero już szczerzył się w duchu.

Kolejna misja miała zakończyć się powodzeniem.

- Musimy to zrobić.

- Oszalałeś?! Ostatnim razem się nie udało! – Goten nie był przekonany co do pomysłu swojego przyjaciela.

Musieli jednak naradzić się szybko. Każde zdanie wymienione w przerwach między walką kosztowało ich wiele wysiłku.

- Nie powiedziałbym, że się nie udało... – wysapał Trunks po czym musiał umykać przed morderczy ostrzem Koko. – Poza tym spójrz na jego dłoń. Da się go ranić. – dokończył gdy znów udało im się odskoczyć od ścigającego ich zabójcy.

- No nie wiem... Jeśli Vegeta zostanie sam...

- I tak zostanie! Nie jesteśmy w stanie dłużej walczyć!

Koko znów ich dopadł. Z ledwością unikali śmiertelnych ciosów, jednak ich ciała były coraz bardziej poranione i słabe od upływu krwi. Rzeczywiście, to była jedyna nadzieja. Ich desperacki pomysł.

Wiedzieli dobrze, jak wiele razy zawodził w przeszłości wielu innych wojowników... ale to był jedyny plan, jaki mieli.

Znów uciekli, w powietrzu tańcząc uproszczoną wersję fuzyjnego tańca.

Ich poprzednie pomysły trafiły bez pudła. Wykorzystanie kienzan, które nie są bardzo destrukcyjne dla otoczenia, ale śmiertelnie groźne dla istot żywych, bo przeciąć mogą wszystko było dobrym posunięciem. Tak samo wykorzystanie fuzji, by przekazać wszystkie pod kontrolę jednego z nich. Transformacja w super-saiyanina trzeciego stopnia i nowa wersja wybuchowych duszków także się sprawdziła... ale to, co teraz chcieli zrobić, było beznadziejnie głupie.

...ale lepsze to, niż nic.

Podali sobie dłonie.